

Wychodzi w każdą

Sobotę.

Cena prenumeracyjna

w całej Austrii:

rocznie 8 zlr. — półrocznie

4 zlr. — kwartalnie 2 zlr.

w Niemczech:

rocznie 5 tal. — półrocznie

2 tal. 15 sgr. — kwartalnie

1 tal. 8 sgr.

we Francji:

rocznie 21 fr. — półrocznie

11 fr. — kwartalnie 6 fr.

Numer pojedynczy 20 ct.

Redakcja: Ulica

wałowa Nr. 19.

ŚWIT

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Główne agencje: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnia J. Wilda i A. Nowoleckiego, w Poznaniu księgarnia Żupańskiego. Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.

Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleźć w „Świcie” wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsyłanie Redakcji egzemplarzy takowych.

Treść: Między niebem a ziemią, powieść przez Michała Bałuckiego. (C. d.) — Garbus z Bononii, poemat wieków średnich, przez Władysława Orłona. (C. d.) — Książ Hngo Kollataj i jego prześladowcy, szkice biograficzno-krytyczne, przez Henryka Schmitta. (C. d.) — Kalejdoskop, obrazy czołów i ludzi, przez Berlicza Sasa. (C. d.) — Gemma, przez Ernesta Buturę (wiersz.) — Pitagoras, ustęp z dziejów Hellady, przez Dr. Władysława Daisenberga. (C. d.) — Przegląd literacki. — Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

MIĘDZY NIEBEM A ZIEMIĄ,

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Adam zostawszy sam na sam z Ewą na łódce czuł się nieco wzruszony i zmieszany, mimowoli obejrzał się za Stasią, jakby potrzebował w tej chwili przypomnieć sobie jej obecność. Ewa zauważyła to i rzekła:

— Może panu zrobiłam tem przykrość rozdzielając go ze Stasią; ale łódź nie życie i mimo zgodności charakterów jazda nie wypadłaby państwu pomyślnie. Już drugi raz dzisiaj przypadek łączy pana ze mną.

— Jakto drugi raz? — spytał Adam wesoło, chcąc tem zamaskować dziwne wrażenie, jakie na nim robiło zbliżenie się do Ewy.

— A owa zniwarka, która mi pana radziła na męża. Czy pan zapomniałeś? Uważałam, jak to pana przestraszyło.

— Czy pani nie chce, aby się pani bano?

— Nie chciałabym, abyś się pan bał.

Łódka Zygmunta sztybowała szparko po gładkiej wodzie i skręciła ku Ewie. Spojrzała to i wzięwszy w rękę wiosło zrobiła kilka silnych poruszeń, by się utrzymać w pewnej odległości.

— Widzisz pan, pan Zygmunt mnie się nie boi, bo natrętnie płynie wciąż ku nam. Ale, ale, o czym panowie rozmawiali dziś na ganku po obiedzie? Proszę być szczerym, panie Adamie. Pewnie o mnie?

Tak.

— I Zygmunt żalił się jak zwykle?

— Nie. Tym razem mówił coś więcej. Chce od pani stanowczego słowa.

— Słowa? Czy ciotka jego już umiera?

— Nie, ale ma nadzieję otrzymania od niej pożyczki.

— Trud niepotrzebny — rzekła kwaśno.

— Dlaczego? On panią tak kocha.

— Ale ja go nie kocham. A to przyznasz pan jest nieznośnem. Wolałabym szaleć z miłości za obojętnym, niż znościć natręctwo człowieka, którego bym nie

kochała. To zdaje się panu Zygmunto wi brakiem serca. Wszyscy mnie tu o to posadzają. A pan, panie Adamie, co sądzisz o mnie?

— Gdybym znał tajemnice serca pani, mógłbym dopiero wtedy wydać sąd bezstronny.

— Pytaj się pan. Ja nie mam sekretów. Mówię zawsze to, co myślę i dlatego nikt nie chce wierzyć w to, co mówię. Tak ludzie przyzwyczaili się do nieprawdy. Więc cóż chciałbyś pan wiedzieć?

— Czy pani kochałaś już kogo?

Ewa zamyśliła się — potem rzekła:

— Nie wiem, czy to można nazwać miłością; ale jest jeden człowiek, który zrobił na mnie silniejsze wrażenie, niż wszyscy, których znałam dotąd; którego miłość czyniłaby mnie dumną i szczęśliwą, o którego mogłabym być zazdrośną. Chcesz pan poznać tego człowieka?

Adam wahał się z odpowiedzią; w chwili kiedy Ewa z takim zapalem mówiła o owym nieznanym, uczuł jakby rodzaj zazdrości i nie chciał poznać tego szczęśliwego; ale ciekawość przemogła i rzekła:

— Ktoż on taki?

— Spójrz pan tam — rzekła wskazując na zwierciadło wody, w którym odbiły się ich postacie. Adam zarumienił się mocno, w uszach uczuł szum i ogród zdawał się przewracać w oczach jego. W tej chwili Zygmunt przybił z łodzią i zrównał z nimi, a Stasia rzekła:

— Płynmy tak razem. Adasiu! prawda, jak tu pięknie i dobrze?

Adam kiwnął głową i bąknął coś niewyraźnie. Nie śmiał przyznać się w obec Stasi, że mu było dobrze w tej chwili.

— A pan, panie Adamie, nie poprobujesz wiosłować? — spytała go po chwili Ewa. — To nie tak trudno. Spróbuj pan — i dała mu wiosło w rękę.

Adam wstał; ale jakoś nie szło mu. Ręka niewprawnie i nieradnie kierowała wiosłem i nie mógł utrzymać równowagi na kołyszącej się łodzi.

— Czekaj pan, pokaże panu.

To powiedziawszy wzięła wiosło z jego ręki i poczęła nim robić tak szybko, że łódź pomknęła znacznie naprzód po za wyspę i skryła się przed oczami tych, którzy w drugiej łodzi siedzieli.

— A teraz próbuj pan — rzekła Ewa dając mu wiosło i patrząc mu w oczy takim spojrzeniem, że się mu gorąco robiło od tego.

Wziął wiosło i zanurzwszy je w wodę chciał się odepchnąć od brzegu wyspy, pod który podjeżdżali. Ale że wiosło za płytko zanurzył, przesłiznęło się po wierzchu wody a on straciwszy równowagę upadł. Byłby niechybnie wpadł w wodę, gdyby go nie była przytrzymała Ewa. Ale na silnie zakolysanej łódce i ona straciła równowagę i upadła z nim na łódź. Wnet zerwała się; ale w tej krótkiej chwili upadku głowa jej znalazła się tak blisko Adama, że ogień jej rozpalonych policzków uciekł na swojej twarzy. Dotknięcie to ogniem przeleciało po jego nerwach. Wstawszy przeproszał Ewę za swoją niezręczność i dziękował jej.

— O! nie przebaczę panu, bo jak powiedziałam, daruję zapomnienie, ale niezręczności nigdy. Chyba pod jednym warunkiem.

— Przyjmuje każdy.

— Że pan będziesz tu przyjeżdżał na naukę wiosłowania. Zgadzasz się pan? Słowo! — i podała mu rękę.

— O, pani! — rzekł wzruszony i ujawszy jej pulchną, białą dłoń pocałował ją namiętnie.

Cała ta scena trwała tak krótko, że gdy druga łódź zbliżyła się ku nim, Adam miał już czas ochłonąć ze wzruszenia.

Chłód wieczorny i głos matki Stasi przywołały ich do brzegu. Niezadługo po herbacie Stasia z matką i Adamem pożegnała gospodarza i jego córkę i zabrali się do wyjazdu. Gdy Adam żegnał się z Zygmuntem ten mu rzekł:

— Cieszę się, że poznałem pannę Stanisławę. To anioł kobieta. Byłbyś niewdzięcznikiem, gdybyś zawiódł to dziewczę.

Adam nic nie odpowiedział. Wyrwał się co prędzej z rąk Zygmunta i rozgorączkowany, roztargniony wsiadł do powozu. Ewa patrzyła na niego z ganku i gdy już powóz miał ruszać rzekła:

— Do widzenia!

VI.

W kilka dni po wycieczce do Zarzecza znajdujemy Adama w jego pracowni przed obrazem. Stasia pozowała mu na klęczącą Rzymiankę; obok niej siedziała matka i czytała na głos Irydyona. Troje tych ludzi w schludnym pokoiku, ogródek oświecony słońcem, który widać było przez otwarte okno, wszystko to składało się w harmonię, przedstawiało się jak obrazek cichego szczęścia i spokoju. Tak się zdawało na oko. Ale kto by uważniej przypatrzył się temu wszystkiemu, spostrzegłby, że spokój był pozorny tylko. W oczach Adama widać było niezadowolenie i niesmak, cisza i spokój ciążyły mu a nawet zdawały się go niecierpliwieć, pracował mechanicznie, bez zapału i zamilowania, a spojrzenia, które od czasu rzucał na model, były tak zimne i obojętne, że Stasi serce się ścisnęło od tych spojrzeń. Uważała, że Adam od kilku dni zmienił się bardzo, że stał się dla niej nad-

zwyczaj chłodny a nawet nieraz opryskliwy. Nie dała mu poznać, że ją to boli, bała się pytać o przyczynę. Tała się nawet przed matką ze swoim spostrzeżeniem, a ta utajona boleść jeszcze więcej ją gnębiła. Ten stan wewnętrzny odbił się mimowoli na jej twarzy i nadał jej wyraz tym boleśniejszy, im bardziej starała się ukryć cierpienie i zamaskować je przymuszonym uśmiechem. Był to prawdziwy uśmiech męczennicy i Adam jako artysta powinien był być kontent w tej chwili ze Stasi, choćby jako z modelu. Mimo to twarz jego wcale nie wyrażała zadowolenia. Wziął się bowiem do malowania tego obrazu nie z własnej chęci, ale na prośbę Stasi, która go do tego namówiła widząc, że od kilku dni nie może zdecydować się, którą szkicę pierwszej rozpocząć. On, co zwykle był taki pilny, pracował z gorączkową prawie skwapliwością, teraz od kilku dni nie miał pendzla w rękach, narzekał na brak natchnienia do pracy, na złe usposobienie i często wychodził z domu na kilka godzin. Stasia instynktowo przeczuwała coś złego w tem jego dziwnym usposobieniu, w niepokoju jego i z trwogą obserwowała jego postępowanie. Dziś rano, gdy weszła do jego pracowni zastała go trzymającego w ręku szkicę owego obrazu: „Między niebem a ziemią“ i wpatrującego się w nią w takim zamyśleniu, że nie spostrzegł nawet jej wejścia. Gdy się odezwała, wstrząsnął się cały i przestraszył jej głosu, i zmieszany odłożył szkicę na bok.

— O czymże się tak zamyśliłeś? — spytała go łagodnie.

Tak, przeglądałem szkice... nie wiem, na którą się zdecydować, którą zacząć. Myślałem, czyby nie dobrze było tę rozpocząć — mówiąc to wskazał na szkicę, którą trzymał w ręku.

Stasia nie wiedzieć dlaczego miała wstręt jakiś do tego obrazu i rzekła z pośpiechem.

— O, nie ten, nie ten...

— Dlaczego? — spytał i wpatrzył się w nią zdziwiony.

Zarumieniła się na to pytanie i odrzekła:

— Nie wiem, ale zdaje mi się, że ten obraz mniej się będzie podobał. Jest w nim myśl codzienna, powszednia.

— To zależeć będzie od wykonania — odrzekł kwaśno.

— Tak, to prawda; ale dlaczegoż masz tyle czasu i pracy poświęcać temu obrazowi, gdy tymczasem możesz wykonać tamten.

— Nad stawem... czyli jak ty chcesz: Rywalki.

— Nie, ten obraz mi się także teraz nie podoba. Treść jego robi na mnie teraz przykre wrażenie.

— Zmienne masz gusta, jak widzę. Przed kilkoma dniami uniosłaś się nad tym obrazkiem.

— Zachwycała mnie prawda z jaką oddałeś boleść opuszczonej dziewczyny. Dziś sama nie wiem czemu zachwyty przemienił się we współczucie dla tej biednej, jakby była żywa, jakby była moją siostrą. Nie śmiej się ze mnie mój Adasiu, ale tak przejęłam się losem tej dziewczyny, że przykroby mi było, gdybyś tę jej boleść na publiczne widowisko wystawił. Wydawałoby mi się to pastwieniem nad nią.

— Egzaltujesz się moja droga.

— Czyż to cię gniewa, że obrazy twoje w moich oczach w żywe przemieniają się sceny? To przecież cieszyć cię powinno, że w obrazach tych złudzenie tak bliskiem jest prawdy.

— Więc któryż obraz radzisz mi zacząć? — spytał jej z pewnym odcieniem niecierpliwości — kiedy do jednego wstręt czujesz, nad drugim znowu zbyt uczynną litosć.

— A o Rzymianie zapomniałeś? to obraz, który wart twojej pracy. Dużo kobiet co dzień cierpi i zazdrości z miłości; ale nie każda zdolna oddać życia za wiarę. Jest to myśl wzniosła, poważna, niezwykajna i jestem pewną, że ci ten obraz robi sławę.

Adam uśmiechnął się ironicznie.

— W twoich łaskawych oczach — rzekł. — Obraz ten potrzebuje sił, na jakie mnie nie stać.

— Wszak szkiejąc ten obraz wierzyłeś w twe siły. Dlaczegoż dzisiaj wątpisz?

— Dlaczego? Bo człowiek ten, który był wczoraj, niepodobnym do tego, jaki jest dzisiaj. Są chwile, w których odbiega nas ochota do wszystkiego na myśl o śmierci... i w obec tej myśli maleją aż do nicstwa wszystkie nasze największe pomysły. Są także chwile, w których ten, co czuł się na siłach zatrząsnąć, jeżeli nie światem, to choć milionami serc, upada bezsilny pod ciężarem zwątpienia. W takim usposobieniu ja teraz jestem... nie wierzę, abym mógł stworzyć coś wielkiego, a choćbym mógł stworzyć coś, co u ludzi nazywałoby się może wielkiem, to nie wiem, czy warto dla tej urojonej wielkości poświęcać przyjemności życia, męczyć się, pracować. Kto mi zareczy, że sława, którą zyskam, warta tego, co dla niej poświęcam?

— Adasiu! — zawołała z bogobojnym przestachem Stasia — co ty mówisz? Jakież to straszne myśli opętały cię? Tobie się coś stać musiało? Powiedz mi, w jaki sposób popadłeś w takie zwątpienie?

— Patrzę trzeźwo... przejrzałem... to cała tajemnica.

— O, nie, to nie to. Ty jesteś chory na duszy, mój drogi. Tobie coś dolega.

Uśmiechnął się cierpko i rzekł:

— Przypuśćmy że tak jest, to cóż poradzić na to?

— O, jest lekarstwo.

— Masz lekarstwo na chorobę duszy? — spytał drwiąco.

— Mam — odrzekła ze stanowczością. — I mnie nieraz dziwne, przykre myśli nachodzą.

— I cóż wtedy robisz?

— Pracuję. Ty się śmiejesz? A jednak to prawda, wielka prawda. Praca daje nam zadowolenie, uspokojenie a często zapomnienie myśli, które najczęściej legną się w duszy w chwili beczynności, jak robactwo w stojącej wodzie. Wierz mi. Zabierz się na seryo do pracy, a odżyjesz, odnajdziesz humor i ochotę do życia. Z początku trzeba się przymusić, przewyczyć, ale potem będzie ci lepiej.

Prosta i szczerza ta rada wydawała się Adamowi dziecinna i chciał ją zbyć obietnicą, że od jutra zacznie pracować. Ale Stasia nie przystała na odkładanie i prosiła Adama, by zaraz wziął się do malowania sceny w katakombach. Naprawdę wymawiał się, że nie ma potrzebnych modeli, od których musi zacząć obraz.

— Masz mnie — rzekła — zaczniesz odemuie. Resztę znajdziesz sobie później.

— Ależ trzeba ci będzie przeczesać się inaczej na Rzymiankę — rzekł ratując się od przymuszonej roboty.

— Przeczeszę się zaraz, to nie potrwa długo.

— Chciałem jeszcze przejrzeć Irydyona, z którego wzięłem po prostu myśl do tego obrazu.

— To ja ci będę czytać.

— Czytać i pozować... to nie będzie możebnem.

— Więc mama czytać nam będzie.

Prośba jej tak była natarczywa, że Adam przyparty jak do muru zdecydował się wreszcie rozpocząć ów obraz, który Stasia tak doradzała i usiadł do roboty, ułożywszy poprzednio Stasię w odpowiedniej klęczącej pozie, a matka uproszona przez córkę usiadła obok nich i czytała na głos Irydyona. (C. d. n.)

GARBUS Z BONONII.

poemat z wieków średnich

przez

WŁADYSŁAWA ORDONA.

(Ciąg dalszy.)

Jest kędys dziwny rysunek, głęboki,
Piraneśego płód mistrzowskiej ręki:
Po smukłej, giętkiej drabinie wysokiej
Architekt pnie się i na szczebel cienki,
Zda się, ostatni, staje już — bo oto
Przed nim jest przepaść; w głębi cień i błoto;
Lecz spojrzj wyżej! Tam na ostrym skrócie
Drabina znowu i architekt na niej
Pnie się, lunatyk, twardo i zaciecie,
Aż znowu zwiśnie nad brzegiem otchłani,
I tak bez końca widza oko ima,
W nieskończoności rozciągnięte sinej,
Przepaści głębie i szczeble drabiny,
Aż zawrót schwyty oko i zatrzyma.
Tak myśl Allana po cierpieniu drabinie
Wstępuje wyżej, wyżej, coraz wyżej,
Aż nad przepaścią stanie i w niej ginie;
Lecz osłupiała ból popędza chyży
I oświecają błyski piorunowe,
Wiążą nowe szczeble i przepaści nowe!
A mocniej niżli wszystkie inne głosy,
Brzmi Allanowi dotychczas nieznaną
Rozkosz, co po pogańskich niebiosy,
Myśl zemsty — córa najmiłsza szatana,
Zemsty żądanej — i znów odpychanej!
Bo w duszy jego cud dziwny się isci:
Miłość podaje ręce Nienawisci
I władzę nad nim biorą na przemiany;
A czasem złączają się tak bratnie szalemy
Że dwie te, zdają się być jednym ciałem.

Z ta sroga burza, wciąż odmienniej treści,
Młodzian bluźnierczo kryje się i pieści;
Gdzie dotknie tylko, krwi kropla wytrysnie
O co zapyta — jęk mu odpowiada,
Aż wreszcie mdlejąc chyli się i zwiśnie
I w osłupiała nieczułość zapada.
Tak w lesie Tassa kiedy miecz rycerza
W ślepej wściekłości po drzewach uderza,
Z pod każdej kory bije krwi ulewa,
Lub łą z pod młocnej jego tryska ręki,
Aż naraz jęką wszystkie lasu drzewa:
Stój! ciężkiej naszej ulituj się męki!

Tymczasem w mieście szła wieść z ust na usta,
Jak żartem pełnym rozkosznej swawoli,
Skarciła piękna Bianka Foscoli
Miłość garbusa. Lecz dziewczyna pusta,
Jak gdyby na nią padł cień tej niedoli,
Co jak noc duszę Allana odziała,
Niechętne z drzeniem prawie wspominała
W obec ciekawych i chrzcielnicę ową,
Gdzie nędzny garbus stał z schyloną głową,
Czekając na nią, — z duszą w oczach białą,
Jakby miał przyjąć Pańską krew i ciało;
I grosik wzgardy, ów grosik leciuchny,
Pod którym zgięła się młodziana ręka.
Słuchając, śmiały się Bianki druchny
A dziw! smutniała coraz ta panienka,
Rzekłbyś, że trwożne przeczuć ją nęka.

Wiesie jednak rosła. Każda złość lub psota
Nowym ją strojem obdarzały w drodze,
Próżniactwo skrzydła przypinało nodze
I przypędziło pod Allana wrota.

Lecz od nich z niczem poszła rozgniewana.
W samotnym domu nie było Allana.

Gdzie zginął, różnie zgadywali różni:
Ze życia pozbył — że skrył się na puszczy;
Kedys go kupcy widzieli podróżni
W stronie, gdzie święty grób Chrystusa Pana;
To pewna tylko, że postać złamana,
Starego mistrza — z domku z po za bluszczy
Wśród nocnej ciszy usionego grodu
Patrzała co dzień łzawo w stronę Wschodu.

Czas minął — boski Czas — ta Lety rzeka,
Co wolno w oteklach wieczności przecieka;
Nurt zapomnienia, w którym toną smutki
Bole i rany — co wieczne być miały.
Toną zaklęte nawet niezabudki
Siane po brzegach; Czas — ten obłok biały
Sunący lekko po jasnym błękitie,
Dla serc radosnych zbyt skory i krótki,
Orzeł z wysoka patrzący na życie.

W Bononii czas ten wszystkim był wspaniały,
Bo wielom przyniósł, nie nie wziął nikomu.
Jednemu tylko sercu wśród sług roju,
Wśród bogactw, w pysznym senatorskim domu,
Czas ten odebrał błogi sen spokoju.

Już noc padała. Ta noc południowa,
Przed którą ledwo słońce uciec zdola,
Co nie zna zmroku ani snów aniola,
Lecz rozkochana, wonna i wesoła,
Miłość na wrzajem łonie swoim nianczy
I słucha szeptu kwiatów pomarańczy.

Foscolich pałac cały tonie w mroku,
Kształt mu olbrzymi nocna daje pora,
Narodne tylko, wysokie okienko,
Patrzące w ciemne głębiny jeziora
Przepuszcza smugę światła drąca, cienką
I przystęp daje ciekawemu oku.
Tam, w pełnej kwiatów komnacie dziewiczej,
Przy świetle lampki błękitnej przyćmionem,
Cień się dwóch osób kołyszże zwodniczy.
Jedna, to nianka, z obliczem zmarszczonem —
Lecz kto jest druga, ta z bijącym łonem,
Z którego białe zsunęły się rąbki,
Z królewskim czołem, spojrzeniem gołabki,
Zsunęta ciałem na marmur podłogi,
W ciemność tonąca żrenicą rozdarta,
Z głową na nianki swej kolanach wsparta?
Toż Bianka?... Może... Zostały te wdzięki,
Co kiedyś na świat się patrzyły hardo,
Okiem miłośne zapalały meki
I w pożar wzrosłe gasiły — pogarda,
Taż sama białosc alpejskiego śniegu,
Jak on przezczysta, jak on lodowata,
Lecz dzisiaj, dziwna rzecz! — ta pychy szata
Znikła gdzieś — spadła z dumnej Bianki twarzy,
Oko to świeci, grzeje — lecz nie parzy.
Jak biały łabędź, z daleka od brzegu,
Straciwszy z oka gniazdo, pierś wyteża
Krzykiem ku dziatwie, co się w trzcinach chowa,
Tak jej myśl błędna, nie poznając siebie,
Krzykiem przestrachu wybuchnąć gotowa,
Echa czekając na ziemi lub w niebie:
Moc ją tajemna łamie i zwycięża.
I teraz wzniosła niespokojnie głowę
I pochyliła nateżone ucho
W przestrzeń za oknem, w ciszę, w ciemność głuchą,
Palec na ustach kładąc w znak milczenia...

Nie!... tylko szemrzą fale lazuruwe
A na nie śniegiem lecą w pośród cienia
Z drzew obciążonych kwiaty migdałowe

I motyl stuka w okno do płomienia.
Wiele wzrok dziewicy zapalony — gaśnie,
Twarz się ciemnością zawodu powleka.
I leż nie może wstrzymać jej powieka.
„To nie on”, szeptem, wczoraj miesiąc właśnie,
„Jak tu przypływa i jak ztąd ucieka,
„Pieśń bym słyszała — poznam go po pieśni,
„Jak twarz, odgadnę, choć nie widziałam,
„Bo oko jego pewnie jak pieśń pała.
„To nie on!”
I dłoni spuściła bolesniej
Jakby nadziei swojej grób grzebała.
„Dziecko!” zawoła nianki głos złamany,
„Na pierś Madonny! To urok być musi.
„Serduszek twoje oblega i kusci
„Rodu ludzkiego nieprzyjacieli znany.”
Tu wystawiła palec dwa przed siebie.
„Znam wszystkie miejskie ryceerze i pany,
„Lecz sam Lucifer przychodzi do ciebie!
„Bo żadna nigdy nie brzękła gitara,
„Chociażby nawet miała złote struny,
„Jak ta, na której grała twoja mara,
„I nigdy pieśni równie słodkie tony.
„W noc wielkanocną nie zabrzmiąły w niebie;
„O dziecko, szatan przychodzi do ciebie!”
Twarz Bianki ciemnym spłoneła rumieńcem.
„Nie bluźnij nianko! zawoła surowo
„Wszak brałam ciało i krew Chrystusową,
„Nie jednym ołtarz obdarzyłam wieniec,
„Złożyłam grzech mój w spowiednika ucho,
„I wysłałam białą z ręki spowiednika,
„A śpiewak okna mego nie unika!
„Co dzień łódź jego do muru dotyka
„Przypływa, skoro w domu całym głucho
„I wrota raju przedemną odmyka.
„Czy żada czego? nigdy się nie zbliża.
„By go odpędzić — zhyteczny znak krzyża!
„Zaledwo wszystka krew w mem ciele wrzusi,
„Zanim zaklęta gitary urokiem
„Ockne się, w ciemność rzucę błędnem okiem,
„Już wiosło pluśnie, jak zbudzona ryba
„Smuga się srebrną zmarszczy wodna szyba
„I postać jego jak cień się rozwiła!...
„O nianko! szatan żada tylko duszy,
„On nigdy nawet nie zażąda ciała,
„A jabym duszę z ciałem mu oddała!...”
— „Jak chcesz Siniora,” odpowie nieśmiało
Nianka — „lecz jeśli to człowiek jak drugi,
„I z grzesznej matki wziął jak inni ciało,
„To chyba przyszedł kiedyś z drogi długiej,
„Ze stron dalekich, gdzieś z pogańskiej ziemi,
„Gdzie ryby cudne, z głowami ludzkiemi,
„W morzu śpiewają — a łoża zielona
„Rodzi grające, jak kapela, grona,
„I słodkie brzmienie w powietrzu rozprasza:
„O! bo pieśń jego, pieśń wcale nie nasza,
„Choć słowa nasze. Słyszałam górala
„Śpiew, co jak wichru jęk słyszy się zdala;
„W Wenecyi pięknej byłam także z młodu,
„Znam Barkarole, co jak gołab grucha,
„I w San Gennaro, gnieździe mego rodu,
„Skocznej kanzonie nadstawiałam ucha,
„Raz nawet w świętem mieście, co Bóg zliczy
„Na odkupienie grzesznej duszy mojej;
„Z pielgrzymim tłumem u świętych podwoi
„Stałam w kościele Piotrowego progu
„I tam słyszałam potężny i rzewny
„Śpiew świętych chłopców poświęconych Bogu,
„Którzy swym matkom raj kupili pewny.
„Znana mi nuta nabożna i gminna,
„Lecz ta pieśń, pani, o to pieśń jest inna!
„Wszystkie w niej nuty grają po kolei,
„Jak barw siedmiu igras w pasku tęczy,
„Modli się, grucha i tesniki i jęczy;
„Jak Mandragory kwiat lub Azalei
„Kiedy się dotknie ich nóż ogrodniczy;
„Placze, — jak zdradny sok z maku nasienia,
„Duszę usypia — a krew rozplonienia,
„Mnie starej nieraz żar sypie do powiek;
„Jak chcesz, Siniora, lecz to nie nasz człowiek!
„Zwycząjom naszych cale nieświadomy,
„Rycearz, dworzanin, nawet Lew antytniec
„Jużby się wkraść był w pałac dziedzinniec
„I w rękę moją złożył dar kryjomy;

„Lecz on!... napróżnom kiedyś czałowała:
„W. te noc nie przybył — i tyś zakazała.”
„Cyt!...” szepnie Bianka, nie tchnąc, drżąc cała.

KSIĄDZ HUGO KOŁŁATAJ

i jego prześladowcy,
szkic biograficzno-krytyczny

HENRYKA SCHMITTA.

(Ciąg dalszy.)

W liście do Leona, Stanisława i Feliksa Hulewiczów, pisanym 7. września 1793 powiada (str. 94. 5. II.): „W tym rzeczy stanie (t. j. po odarciu z dóbr i urzędu) znajdując się, tę tylko mam dla siebie pociechę, że wśród powodzeń i pomyślności domowej nie przeżyłem ojczyzny mojej. Jestem tak nieszczęśliwy, tak ogołocony z wszelkiej możności, a tak lepiej nierównie czuć mogę tę stratę i dokładniej poznawać charakter współziomków. Kiedy się zastanawiam nad szanowną przychylnością JMPnów, najduję wprawdzie wiele pociechy dla serca mego w ich oświadczeniu, lecz pozwólcie, abym Im odpowiedział podług rzetelnego mego czucia: *no lite flere super me, sed super vobis, filiis et filiabus vestris*. Nie szczęść cie moje przeminie, lecz nieszczęście Polski i Polaków na zawsze trwać będzie. Zbyt mała jest ofiara ze mnie dla prawdy i sprawiedliwości. Ale niepodobna, żeby wyższa nad wszelką moc ludzką sprawiedliwość nieba nie ściągnęła kary na tak zapamiętałe postęпки. Chlubili się Targowiczanie, że uratowali ojczyznę, kiedy na nią tak wielką zbrojną siłę obcego wojska wprowadzili. Najlepiej jest wiadomo JW. i WPanom, jak pragnąłem, aby naczelnik tej roboty postrzegł się w samych początkach, jak gdy zapamiętałość jego trwała w uporze nieporuszona, umknąłem się z wielu innymi dobrze myślącymi, aby nie dać przyczyny rozdwojenia, a w rozdwojeniu podziału kraju nie przyspieszyć. Tryumfowali oni w największej przeciw ojczyźnie zbrodni. Napróżno ostrzegałem o gotującym się niebezpieczeństwie. Szydzili z pocziwych przestróg. Gdzież teraz są? gdzie ich i nasza ojczyzna? Mniemani zbawiciele swobód Polski porzucili ją w najgorszym czasie, wydali na łup zbrodni i chciwości. Król ulega wszystkiemu, ale ulega czynnie... „Czekam spokojnie dalszego losu. Ojczyzna więcej mnie dotyka, jak me własne interesa. P. Benedykt (Hulewicz) pisał do mnie. Wyznał w gorczy serca swego, że się omylił, wyznał, że ja dobrze sądziłem o ludziach, których on podług zapamiętałego swego uprzedzenia pocziwymi być mieniał. Ale ten cały żal jest za późny. Ja mu darowałem z serca błąd jego. O, gdyby on sam sobie mógł go darować, gdyby mógł być wolny od zgryzoty na całe życie! Jego mecenas (Szczęsny Potocki) już więcej nie jest w Petersburgu. Z błędów publicznych wpadł w niezliczone błędy prywatne. Lichemi awanturami chce zatrzeć zgryzotę sumienia. Wyjechał do Hamburga, gdzie za nim pospieszyła p. Witowa. A tak mniemany obrońca swobód i całości swego narodu bawi się jak płochy młodzik.”

Przytoczone w tych wyjątkach szczegóły ważne świadczą najlepiej, że patryoci chcieli właśnie wszelkimi możliwymi środkami zapobiedz waśni wewnętrznej, lecz gdy zapamiętałość przeciwników spowodowała najcięższe na kraj klęski a w końcu i podział tegoż, nie mogli

Cisza w powietrzu przezrocem wisiała,
Sad zagłuchł, lampka zgasła, zgęstły cienie l... (C. d. n.)

przecież w książce, opisującej przebieg wypadków z tego czasu, przyjąć w jakimś szalonym napadzie wspaniałości, na siebie winę i odpowiedzialność za wszystko, aby tym sposobem osłonić płaszczem chrześcijańskiej miłości zbrodnicze knowania i czyny swych przeciwników a to w celu niby ochronienia narodu od waśni wewnętrznej! Czy ich własne a grube błędy, jak je nazwał Siemieński, byłyby spowodowały katastrofę drugiego podziału Polski, jest kwestyą jeszcze nie rozstrzygniętą, lecz za to nie ulega już najmniejszej wątpliwości, że intrygi ich przeciwników w sejmie i po za sejmem i późniejszy spisek uknuty z Moskwą, cios śmiertelny zadały ojczyźnie i ostatecznie spowodowały jej zagładę.

Zarzuty czynione książce tej wymierzył właściwie Siemieński przeciw Kołłatajowi, który, według twierdzenia jego, główną sobie zostawił redakcyę tej pracy zbiorowej. Tym sposobem chciał zważyć na niego winę zaszczerpienia wewnętrznej w narodzie waśni, której echo dziś się jeszcze ma odzywać. Lecz i tu dopuścił się nierzetelności w orzekaniu na podstawie świadectw już znanych, ponieważ nie raczył uwzględnić listu jego z 9. Września 1793, pisanego do ks. Dmóchowskiego, z którego widać, że Kołłataj nie musiał mieć głównej redakcyi tej książki, jeżeli mógł się uskarzać, że pisane przez innych rozdziały szły do druku „bez rzucenia oka jego na nie”, chociaż swoją pracę poddawał egzaminowi współpracowników. Ze zaś kochając szczerze ojczyznę i pragnąc jej odbudowania, był przeciwny zaszczerpieniu waśni wewnętrznej, rozrywającej siły narodu, i takową za szkodliwą poczytywał, świadczy dobitniestęp z tego samego listu (str. 98. T. II.), w którym powiada: „Jeżeli uwagi moje przyjmiesz, chciej z swego rozdziału wyrzucić wszystkie przykre ugryzki dla duchowieństwa i specyfikację różnych imion, które także uszczypliwie umieściłeś tam, gdzie mówisz, z jakich się osób składa konfederacya.”

XVIII.

W dalszym ciągu swych zarzutów twierdzi Siemieński, że Kołłataj, pod świetnymi godłami dobra ojczyzny i poświęcenia się dla ogółu, umiał pamiętać o sobie, i że owe piękne słowa i frazesy, „które sypały się tak obficie z pióra jego”, obalamowały opinię publiczną, która „nie zapuszczając się głęboko w prawdziwe pobudki jego, otoczyła go tą samą aureolą, jaką otaczała czoła prawdziwych i szczerzych patryotów”. Gniewa się zaś na też „prawie powszechną opinię” i na historyków, że miasto się radzić tak ważnego bo „prawie współczesnego dokumentu”, jakim jest zdaniem jego Linowskiego list do przyjaciela, poczytali tenże za „pamflet

szarpiący sławę popularnego ks. Hugona". Historykom wytyka w dodatku, że szanując opinię o ks. Kollataju, „nie uwzględnili okoliczności i faktów, mogących ją bardzo modyfikować", i kończy utyskiwaniem, „że popularności służy przywilej pozwalania sobie takich zbrodni i wykroczeń, jakich człowiekowi z najprawdziwszym charakterem, spełniającemu sumiennie lecz bez rozgłosu obowiązki obywatelski, na suchoby nie uszły."

Gdyby prawdą było, co Siemieński w powyższym wypowiedział zarzucie, trzeba by rzeczywiście podzielić oburzenie jego przeciw Kollatajowi, który osłaniając samolubne swe dążenia dekoracyjnymi godłami miłości kraju i poświęcenia dla niego, w rzeczy samej głosił o sobie, a szermując meżnie pustymi choć pięknymi frazesami, wyzyskiwał dobrą wiarę tych, co uwiedzeni jego udanym patryotyzmem, nie spostrzegali dróg krętych, jakimi tajemnie zwykł był uganiać za własnym zyskiem. Występując z tak ciężkim zarzutem, powinien był Siemieński przytoczyć dowody, zwłaszcza gdy sam przyznaje, że powszechna prawie opinia oświadczała się zawsze na korzyść Kollataja, a tem samem gołosłowne twierdzenie czyjekolwiek, czy on Linowski czy Siemieński nie może wystarczyć. Siemieński nie przytoczył właściwie żadnych dowodów, ponieważ powoływanie się na takich świadków, jak Linowski, Bułhakow, Fryderyk Smitt lub im podobni, nie zdoła przekonać nikogo, kto

bez uprzedzenia z góry powziętego porównał ich oszczercze oskarżenia z znanymi faktami i z całym przebiegiem życia Kollataja przez nich spotwarzanego. Że Kollataj który nie odziedziczył znacznego po przodkach majątku, miał w r. 1792 kilka wiosek należących do funduszu edukacyjnego, nabytych w części od Lelewela za gotowe pieniądze, w części zaś na publicznej licytacji, a oraz kilka probostw, nie dowodzi bynajmniej, jakoby ze szkoda publiczną pamiętał o sobie, ponieważ w owym czasie nie brano nikomu za złe, jeżeli korzystał w sposób godziwy z łaski rozdawniczej króla lub innych, którym do tego służyło prawo. Pracując sumiennie w zawodzie publicznym miał równe innym prawo do tej łaski rozdawniczej, a nawet większe, ponieważ sierał zdrowie swe w pracy najuczciwszej. Jeżeli więc nagradzano ludzi zasłużonych stanu świeckiego starostwami, a duchownych bogatymi prebendami, cóż w tem dziwnego, że za tak mozolne prace, jakie Kollataj podejmował w komisji edukacyjnej, dano mu kilka probostw? Dobra zaś należąca do funduszu edukacyjnego kupił za pieniądze wzięte od matki swej i za pożyczone od Strassera, Prota Potockiego i innych, jak świadczą listy jego pisane do Strassera, Szczurowskiego, Hulewiczów i do wielu innych osób, umieszczone w zbiorze przez Siemieńskiego świeżo wydanym.

(C. d. n.)

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA S.A.S.A.

(Ciąg

dalszy)

Ledwieśmy stanęli u podjazdu i przekroczyli próg domu, wnet pani Starościna kazała posłać dworskich kozaków na wieś po muzykę; a także oświecić kaganami dziedziniec, wytoczyć beczki napoju, urządzić na prędce zakąski. Skoczyła służba dworska lotnie i ochotczo. Zakłopotana się klucznica z całą swoją komendą piekiarnianych dziewcząt i młodych. Kucharzom i kuchcikom znalazła się także robota. Wszystko się krząta, zwija, biega, wre. Już pełną iskrzącą się kaganiec. Tryskają beczki piwem, okowitą, miodem. Lud gwarzy wesoło, wypróżnia czarki i szklance za zdrowie swojej dobrej pani, rozlega się długim okrzykiem sercowej nieobłudnej wdzięczności. Aż tu wałęsają ogromne stoły z jadłem, kosze z owocami, misy pełne pierników i makowników dla kobiet, zydle i ławy dla starszyny. Usiedli gdzie się udało. Pożywają, co Bóg dał. Bankiet ożywia się rozmową, wołaniem, śmiechem. Wtem zadzwoniły cymbały, zapisały skrzypce, zahuczała bandura, uderzył bębenek. Okrzyk radości powitał wirtuozów. Okrzyk z młodych pieśni wyległy, pełny brzmień szczyrych wesela i ochoty. Usiedli poważnie muzykanci. Nastroiłi jak umieli. Pogwarzyli coś z sobą i palnili taką żywą, skoczną ukraińską szumkę, że aż same nogi zadrgały, same podkówki zadzwoniły, a prysiudy i hołubce posypały się rzesisto. Wirują parobcy i dziewczęta. To się zwina, to rozwina zniemacka, twirząc krzyże, koła, elipsy, linie frontem nacierające na siebie, lub odstepujące. Bankiet roztopił się w balu. Uciecha alimentarna przeszła w eteryczną. Lud się pokrzepił do lotu i kołował zwawo w powietrznych susach, lekki ciałem i duszą, bo mu wesoło było i dobrze.

I długo trwała zabawa. Pomimo późnej godziny pani Starościna zapomniawszy trudu podróży i lat ciężaru, nie odstępowała ludu swego, zachęcając młodych do tańca, starych do lampeczki, uprzejma, jak dobra gospodyni, tkliwa i troskliwa, jak najlepsza matka. Bo też była rzeczywiście matką poddaństwa swego i poninie pamięć jej we cześci u ludu!

Nie jestem ja fantastycznym chłopomanem (nauczyłem się tego terminu w Galicji). Nie ubliżam innym klasom społeczeństwa z przedśiewziętą myślą wyniesienia ludu w szczyt urojonej jakiejś doskonałości. Nie! Lud ukraiński ma także swoje przywary, bośmy go nie oświecili, w grubym prostactwie zostawili. Ale ma on i cnoty swoje, które było rzeczą naszą uznać, rozwinać, uszlachetnić. Zdolność jego być wdzięcznym za względne i przychylne z nim postępowanie jest pewnikiem, na wsparcie którego mógłbym niejedno autentyczne zdarzenie przytoczyć. Tego mało — ta wdzięczność jego nie istnieje li tylko w obrębie pokolenia, które ją poczuło. Gdyby źródło żywotowne spływa ona w głębsze warstwy rodów wieśniaczych, staje się tradycją, mytem. Po stu latach mówić będą jeszcze prawnuki tej lub owej osady o dobrym panie lub o dobrej pani, co ich pradziadów dobrodziejami byli. Czyliż my, synowie inteligencji i przywileju, potrafimy zachować tak długo w pamięci naszej uznanie doświadczonego dobrodziejstwa? Wątpię!

XIII.

(Na wielkim zimnym świecie.)

Mineły cztery lata. Przepędziłem je w domu pani Starościny horodelskiej nad książką, dopełniając o ile

to było możebnem na wsi, umysłowego ukształcenia mojego pod przewodnictwem uczonego mentora p. Gusseka. Jakkolwiek usilność jego była niezmordowana, nie moge powiedzieć, żeby się pomyślnym rezultatem pochwalić mogła. Poznałem ja wprawdzie gruntownie łacinę, przeczytałem w oryginale najcenniejsze płody rzymskiego piśmiennictwa z mozolną analizą form retorycznych i gramatykalnych według Brödera, wytłumaczyłem na język francuzki cale niemal kilkotomowe *Handbuch* Pölitz'a, rodzaj obszernej antologii, krytycznie traktowanej i wzbogaconej rysem biograficznym autorów. Nauczyłem się Malte-Brun'a od deski do deski. Tacyt, Herodot, Tukidides, Goldsmith, Robertson, Guiciardini i Ségur, nie mieli już dla mnie nic nowego. Z Lineuszem, Tournefort'em i Du-Candol'em, tymi wielkórzadcami państwa Flory i Sylwy, żyłem w najlepszej komitywie, a geometryę Bugge i wyższą matematykę La Croix poznałem na wylot.

Któżby z powyższego sprawozdania nie wysnuł wniosku, że byłem uczony nad lata, a nawet nad potrzebę? A przecież... nic, *de facto* nie umiałem! Wszystkie naukowe zasoby kilkoletnia, usilną pracą nabyte, leżały w mojej głowie bez odbytu i zastosowania, gdyby towary w hurtownym składzie zamknięte. Wiedziałem wiele w teorii, lecz nie potrafiłbym zrobić z tego praktycznego użytku. Materyał jaki posiadałem w sobie był martwym kapitałem, nie dającym procentu. Nic zatem nie umiałem — nic zgoła!

W pierwszych miesiącach r. 1829 ojciec mój powołał nas, p. Gussek'a i mnie, na Białą-Ruś, gdzie zwykle przemieszkował. Powodem tego wezwania była ta okoliczność, że zostałem zaliczony na służbę rządową w ministerstwie spraw zagranicznych, pod opieką dyrektora dyplomatycznego departamentu Rudofińskiego. Oprócz tego faworu czekała mię w Petersburgu nominacya *ex mune* na kamerjunkra dworu z racyi gorliwego interesowania się mną feldmarszałka Dybicza, wielce ojcu mojemu przychylnego.

Dziwnie podzielał na mnie ten zwrot nagły losu mojego w piśmie ojcowskiem zapowiedziany. Chaotycznie poruszyły się we mnie najsprzeczniejsze wrażenia, obok radości smutek, obok nadziei obawa i ogniste porywy ku czemuś i tęskne przeczucia czegoś. Sam nie pojmowałem stanu mego. Bezmiar świata roztaczał przed wyobraźnią moją swe blaski i ułudy. Nęcił, pociągał ku sobie urokiem czarodziejskiego śpiewu Syreny, a jednak żał mi było opiekuńczego domu czcigodnej babki mojej, żał tej wsi ustronnej, spokojnej, błogiej, gdzieś daleki od burz i zamętów świata (nieznanych mi wtedy jeszcze) snuł przez lat tyle nic złotą niewinnego bytu w ciepłym tchnieniu serc przychylnych, w żywotnym tchnieniu natury! Od kiedym się dowiedział, że wkrótce na długo, daleko wyjechać muszę, droższemi stały się dla mnie Lulińce, ponętniejszemi doliny, lasy i pola, dziecinnej przeszłości światy! spokojnej duszy raje! Nie jeden wysmieje mnie litośnie, gdy powiem, że gdybym miał prawo wyboru, wyrzekłbym się ochotnie dystynkcyi honorów, na jakie mię skazywano, a do których od lat najmłodszych żadnego nie przywiązałem znaczenia. Wolałbym tysiąc razy pozostać tem, czem byłem i tam, gdzie byłem i nie wiedzieć nic o tym wielkim świecie, co gdyby ocean przynęca i kruszy.

Dały dom luliniecki posmutniał gdy się o bliskim wyjeździe moim dowiedział. Sędziwa babka moja, zwykle pogodna i wesoła, mniej odtąd miała uśmiechu na ustach, nieraz boleśnie poglądała na mnie a modliła się częściej i dłużej. Przychylność starych sług i domowni-

ków (którym Bogiem a prawdą *titulo* trzpiota nie mało figielków w ciągu lat kilku napłatałem) rzewnie się także przejawiała w obec przygotowań poprzedzających zwyczajnie wyjazd wnuczka z domu kochającej babki. I mnie ich żal było opuszczać. Czułem, że nigdy ich więcej nie obaczę, bo mię świat uniesie, a ich mogiła pochłonie!

Kiedym pewnego wieczora dumał nad sadzawką, której ton spokojna gwiazd i księżyca odbiciem ośrebrzona, u nóg się moich kołysała, nadszedł stary Michał, najśędziwszy ze sług naszego domu i wziawszy rękę moją ucałował ją ze wzruszeniem i zapłakał.

— Co z tobą? kochany Michale — zapytałem starca. — Na coś rękę moją ucałował? Jam prawie smarkacz jeszcze, a tyś sędziwy wiekiem, dostojny zasługa...

— Tyś krew i kości panów naszych! — przerwał starzec drżącym głosem. — Na co opuszczasz nas? Tu tak cicho i dobrze! tak wesoło i bezpiecznie! Żyje się uczciwie, po bożemu. Tu nie ominie ciebie błogosławieństwo nieba, nie ominie szczęście! A na świecie? O! nie to, mój panie, na świecie, co tu! Fałsz, bezbożność, oszczerstwa i zdrada rej wodzą. Strzeż swoją cnotę, bo ją oczernią; strzeż swoją spokojność, bo ją zatrują; strzeż kieszeń swoją; bo cię okradną! Alboż nie? — Nie przesadzam ja mój dobry panie, nie! — Wszak bywałem i ja na wielkim świecie, w Warszawie, z nieboszczykiem panem moim J. W. Starostą horodelskim, świeć Boże nad jego duszą! Skoro się zjawił, (a wiadzano że bogaty) opadły go roje światowych wiercipiętów, sowizdrzałów, bałamutów, wykpigroszów, pieczenia-ry. Ten sobie doi, a ten sobie. W domu u nas, jak w dzwonie, huk, stuk, gwałt, tertes, harmider, aż uszy bywało pekają. I tak co dnia, od ranka do nocy, od nocy do ranka, przez trzy tygodnie! Nie było kiedy ani zmówić pacierza, a wysłuchać mszy świętej ani pójść do spowiedzi. Słowem żyło się nie po chrześcijańsku, po pogańsku! Aż mi się straszno robiło, że grzechy na sumieniu całą górą wyrosły!

— Czegoś tak nosa spuścił na kwintę, mój Michale? — rzekł pewnego dnia do mnie pan starosta. A ja jemu na to:

— Wybacz mi J. W. panie, co powiem. Takiego życia dłużej nie wytrzymam!

A on mi na to:

— I ja dłużej nie wytrzymam.

A ja mu na to:

— To nie gub nyż w tem przekletem mieście duszy naszej, mój dobry panie! Wszak tu Sodoma i Gomora! Babilon zepsucia! Brama piekielna! Niech J. W. pan złoży na zamku pożegnalną atencję królowi jegomości i wracajmy na Ukrainę!

To rzekłszy padłem do nóg J. W. panu staroście i zapłakałem. A on rzekł:

— Wstań mój Michale i zajmij się przyborem do drogi.

— Więc pojedziemy na Ukrainę? — zapytałem nie posiadając się z radości.

— Pojedziemy.

— Kiedy?

— Natychmiast.

— A u króla Jegomości..

— Nie będę! Ja nie potrzebny jemu, a on mnie! Wreszcie wszystko mi tu obrzydło, obmierzło i ludzie tutejsi i dzieła ich! Przypomniałem mi wieś moją kochaną, dobrych poddanych, domowników, żonę, nad którą po Bogu i ojczyźnie nic nie ma dla mnie droższego! Dziękuję ci, mój dobry Michale, dziękuję! Miałem

zamiar załatwić tu jeden ważny interes, ale Bóg z nim! Wracajmy do domu! wracajmy!

Rozbeczałem się jak smarkacz z radości i ucałowałem kolana pana mego.

Tegoż dnia opuściliśmy Warszawę.

Starzec zamilkł i czekał zapewne aż się odezwę, ale ja pozostałem milczącym, pogrążony w trwożnym przeczuciu tych niebezpieczeństw, jakie mnie na arenie wielkiego świata oczekiwały. Wiedziałem, że dla oparcia się im i wyjścia zwycięsko z walki potrzebna siła. Szukałem więc w sobie tej siły, szukałem jej z niespokojnością i zdawało się, że mi głos jakiś wewnętrzny obietnicą meztwa i wytrwałości odpowiadał, po wielu bolesnych próbach żywota wróżba ulgi i błogosławieństwa boskiego pocieszał. I lżej mi się robiło, weselej. Spojrzałem dokoła — drzewa szemrały do mnie słowem zachęty i nadziei. Z kwiatów i ziół płynął ku mnie na powiewach wieczornych balsam spółczucia i miłości. Spojrzałem w górę — błekity bez plamy, blaski bez cieni, a jaki spokój! a cichość jaka i pogoda!

— Patrz Michale! — zawołałem — niebo i ziemia przemawiają do mnie wróżbą pomyślną. Pytałem sercem natury i ona mi światłością i pokojem odpowiada.

— Dałby to Bóg kochany panie! — rzekł starzec ze wzruszeniem. — Wszystko w mocy jego, złe i dobre! — Nie inaczej! Wszystko w mocy jego — przemówił za nami głos poważny, zwracając się ku mnie. — Błogo temu, co w Bogu nadzieję pokłada, od Boga zaczyna i na Bogu kończy, albowiem on jeden miłością i prawdą! on jeden ucieczką i obroną! Pamiętaj o tem, synu mój, gdy z domowego zacisza wypłyniesz na ocean świata! Tam burze wieją straszliwe i smutny dramat rozbić często się powtarza. Któż ci rękę poda w potrzebie? Kto kierunek ukaże? Żegluga oświeci i nawętwą skolatną do portu doprowadzi? Nikt inny jeno Bóg wszechmocny i miłosierny! Na ludzi nie licz, oni bez serca!

Tak mówił ojciec Franciszek, reformat z Zorniszcz, kapelan domowy pani Starościny. Był to człowiek młody jeszcze, ale miał powagę starca. Pobożność

jego tchnęła braterskiem pobłażaniem dla bliźnich, gorącą miłością dla Boga, a kiedy bywało stał u ołtarza, pogrążony całem jestestwem swoim, w uroczystości przeznajświętszej ofiary, twarz jego blada, asketyczna, jaśniała dziwną jakąś światłością, jakby się przez nią blask jego duszy na zewnątrz przebiegał.

A była to rzeczywiście czysta i promienna dusza! Gdzie tylko łza upadła lub się jęk odezwał, zastałeś tam na pewne ojca Franciszka. Kość boleści i łzy osuszać było dlań rozkoszą, szczęściem. Jakoż lud prosty i panowie kochali go i poważali, a ja mu niosłem cześć szczerą.

Wilia naszego wyjazdu odbyłem spowiedź przed nim i przyjąłem z rąk jego komunie. Słudzy i domownicy napełniali kaplicę. Po *ite missa est!* nastąpiły suplikacje. Potem zaspiewano chórem: Przed oczy Twoje. Smutno i uroczysto odbiły się w duszy mojej te śpiewy, poprzedzające bliską chwilę rozstania mego z tymi, co dla mnie tyle przychylności mieli, do których sercem przyrośłem.

Sędziwa opiekunka moja niemniej była wzruszoną. Modliła się i płakała. A kiedy się nabożeństwo skończyło powołała mnie do siebie i dotykając krzyżem z relikwiami co na sobie zawsze nosiła, rzekła:

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego błogosławie ciebie wnuku mój na cnotliwe życie i na śmierć chrześcijańską!

— Amen! — odpowiedzieli przytomni potykając łzy rozrzewnienia.

Poczem ojciec Franciszek pokropił mnie wodą święconą, dopuścił do ucałowania patyny i zmówiwszy cichą modlitwę na moją intencję, pobłogosławił mnie, kornie klęczącego u nóg jego.

Tej świętej i budującej sceny nie w pamięci mojej zatrzeć nie zdołało. Widzę dotąd wszystko, jak było. Widzę wszystkich, co tam byli. Żywo odczuwam w tej chwili, co wtedy czułem, z tą różnicą, że wkrótce powitam tych, com żegnał wtedy, bo oni w grobie i ja tam idę!

Nazajutrz opuściliśmy Lulince. (C. d. n.)

GEMMA.

(Fantazya do muzyki.)

Na drodze życia, co wiodła bagnami
Spotkałem klejnot — z głazów, z chwastów kałem
Wzniosłem do słońca i obmyłem łzami

I jak się klejnot ten zwie? zapytałem...

Od morza czarna nadeiagnęła chimura

I na mej drodze rzekła mi natura:

Gemma!

Później na drodze życia, co bitemi

Drogami wiodła szeroko, daleko,

Spotkałem postać z szaty jaskrawemi,

Złoto jej lśniło, jak na trumnie wieko,

A gdym zapytał, rzekła: Jam ci znana,

Anioł upadły, wszak bywałam zwana

Gemma!

I raz na łodzi, w pełnem morzu, noca,

W blasku księżycy wioził mnie wiosłarz młody

Piał barkarole z tęsknotą sieroca

Żem ujrzał w falach kształt pełen urody,

Jak śnieżny labedź z włosem rozpuszczonym

Płynęła w ciszy... pokój utopionym!

Gemma!

Już barkarola umilkła i fale

Szumia jak ongi o skały zatoki

I księżyc wstąpił z nad toni głębokiej

I arfe moja ścisłam w ramion szale

A wiosłarz szepece — pamiętasz arfiarzu?

A arfiarz szepece — pamiętasz wiosłarzu?

Gemma!

Ernest Bulawa.

PITAGORAS,

USTĘP Z DZIEJÓW HELLADY

skreślił

DR. WŁADYSŁAW DAIENBERG.

(Ciąg dalszy)

Na progu historii greckiej spotykamy się z pierwszym zjawiskiem wysokiego znaczenia cywilizacyjnego,

z wystąpieniem Likurga. Nie mamy jednak pewnych wiadomości, ani o jego życiu, ani o jego prawodawczej

działalności, nawet i czasu, w którym Lykurg żył, nie można dokładnie oznaczyć. Tego zdania są wszyscy nowsi historycy (O. Müller, *hist. Dor.* I. 7. 6.) a i Herodot wspomina tylko mimochodem o Lykurgu (I. 65), powiada jednak, że przed Lykurgem nie mieli Spartanicy Grecy żadnych stosunków ani między sobą, ani z obcymi, a ich prawo było z pomiędzy wszystkich Hellenów najgorszem. Co się tyczy politycznej konstytucji, jaką Lykurg Sparcie nadał, to jest ona tego rodzaju, w jakim nam Homer owoczesny ustrój państwowy hellenickich państw przedstawił (*Grote l. c. 668*), coś na wzór konstytucyjnego królestwa. Dwóch królów ustanowił Lykurg wykonawcami uchwał senatu i ludu całego, lecz w całym ustroju politycznym Sparty wiał przeważnie duch oligarchiczny. Zresztą w całym ustawodawstwie Lykurga przeważała strona polityczna nad społeczną; onemu zależało więcej na utworzeniu jakiegoś „wojowniczego bractwa”, jak na założeniu państwa jako organizmu społecznego. Ognisko domowe nie było niczem, ojczyzna była dla każdego obywatela wszystkim; ale pod tą ojczyzną nie rozumiał Spartanin tych wszystkich skarbów duchowych, jakie my dzisiaj w ojczyźnie widzimy; przeciwnie Spartaninowi chodziło tylko o to, aby był niezwyciężonym, dla tego też jedyną prawie cnotą dla niego było meztwo, waleczność; w każdym widział on wroga, którego zwalczyć było obowiązkiem nie wchodzić w to jaką bronią, podstępem, gdzie się dało, a z bronią w ręku, gdzie inaczej nie można było. Nie dawno w Zgromadzeniu Narodowem francuskim powiedział Dupanloup, że Prusacy są wielkimi koszarami, ale daleko im od tego, aby być wielkim ludem; to samo słowo w słowo da się powiedzieć o Spartanach, brak ludzkości stanowi wielką wadę w ich organizacji społecznej, wadę będącą właściwością całego świata pogańskiego, lecz występującą u niektórych szczepów hellenickich n. p. Ateńczyków w barwach nie tak jaskrawych, jak u Spartanów. Ztąd też wypływa, że z Helotami postępowali sobie Spartanie w sposób tak bezecny i zbrodniczy, że nie wierzylibyśmy dziejopisom fakt ten poświadczającym, gdyby nie ta okoliczność, że go stwierdza historyk tak sumienny jak Tukidides (IV. 80). To żołnierskie wychowanie zapominające o wewnętrznej treści istoty ludzkiej a dążące do kształcenia walecznych żołnierzów, nie ograniczało się do mężczyzn, lecz miało i kobiety na oku. Ksenofon i Plutarch powiadają nam, że Lykurg przepisując surowe wychowanie dla dziewcząt, wychodził z tego stanowiska, że niewolnice mogą siedzieć w domu praść i tkąć, lecz gdyby kobiety, mające być żonami Spartanów takiemu oddawały się zajęciu, nie można by od nich żądać tak świetnego potomstwa, jakie wydać na świat jest obowiązkiem wolnej spartańskiej kobiety. Dla tego też państwo wychowywało wspólnie nie tylko wszystkich Spartanów, lecz i wszystkie Spartanki, aby i te ćwiczyły się w gimnastyce, iżby same nabrawszy fizycznego zdrowia i fizycznej siły, zdrowych i silnych rodziców mogły żołnierzy. Z tej samej także przyczyny wpajano w kobiety spartańskie to przekonanie, że matki walecznych a zwłaszcza w bitwie poległych są najszcześliwszymi, to też Spartanka żegnając syna idącego do boju, upominała go, aby powrócił z tarczą lub na tarczy t. j. aby zwyciężył, albo zginął, a po boju, który się skończył przegraną, cieszyły się i biesiadowały te Spartanki, których synowie zginęli, a smuciły się te, których synowie żywi powrócili. Ztąd to wyrodziło się w Lacedemonie ubóstwienie mocy i siły; własne matki przynosiły dzieci na ręku, ogałano je z wszystkiej odzieży, rozciągano na ołtarzu Diany, biczując do krwi a często nawet aż na śmierć na cześć tej bogini. Pau-

siasz mówi, że widok podobnych katuszy nie wzburzał w sercach rodziców uczucia litości, więcej lękali się o to, aby dzieci nie okazały jakiejś oznaki słabości, niż żeby życie utraciły i dla tego też zachęcano je do wytrwałości; byli rodzice nawet najszcześliwsi, jeżeli któregoś z ich dzieci umarło w tych męczarniach, a to dla zaszczytu, jakiego dostępowała cała rodzina dziecka zmarłego przed odebraniem oznaczonej liczby razów, albowiem dziecko umarłe chowano kosztem publicznym, niesiono do grobu z koroną na głowę i na cześć jego stawiano posąg, który to zaszczyt każdy Spartanin przedkładał nad najdłuższe życie. Dzieci, które zdawały się być brzydkimi, niekształtnymi lub słabowitemi pozabawiano życia wrzucając do trzaskawisk. Wychodząc z stanowiska, że „wszystko dla państwa”, dla zabezpieczenia jego istnienia i dla zapewnienia mu przyszłości, wprowadził Lykurg wielką tolerancję ze strony mężów co do stosunków małżeńskich. Zazdrości małżeńskich nie napotykaemy w Sparcie, lecz Ksenofon (*Rep. Lac.* I. 9.) poucza nas, że bigamia była kobietom dozwolona, jedna i ta sama kobieta mogła być żoną dwóch obywateli i matką dwóch rodów, podczas gdy mężczyznom nie wolno było dwóch żon posiadać i wyjątkowo tylko dozwolono to Anaksandridesowi (*Her.* V. 39. 40.) z względów politycznych. (*Gaume, dzieje życia rodz. t. I, str. 61 &c. Grote l. c. 696 &c.*)

Ze stanowiska dziejów cywilizacji nie można winić Lykurga o wprowadzenie tak niemoralnych praw, bo prawdopodobniejszem jest, że jak to słusznie Duruy (*Hist. grecque str. 33.*) podnosi, Lykurg nie wymyślił praw, jakie wprowadził, lecz tylko zwyczajom owoczesnym nadał moc prawa, zresztą żył on z pewnością nie wcześniej jak na 800 lat przed Chrystusem; więcej zadziwia ta okoliczność, że Spartanie nie podjęli się w ciągu dziejów reformy tych swoich tak nieludzkich praw. Schiller też słusznie powiada, że ustawodawstwo Lykurga jest dopiero pierwszą studencką próbą młodocianej epoki świata, której zbywało jeszcze na doświadczeniu, na jasnym na świat poglądzie i na poznaniu prawdziwego stanu rzeczy, lecz zarazem jest ono krokiem olbrzymim naprzód już przez to samo, że usiłuje wykonać dzieło sztuki z wolności człowieka, którą do jego czasów rządził przypadek i namietność (*Ustawod. Lysk. i Sol. t. II, str. 1212 dwutom. wyd. dzieł Schillera*).

O historii Sparty przed Lykurgem, nie mamy żadnych wiadomości, cała przedlykurgowska jej przeszłość jest mgłą tajemniczości pokryta, podobnie jak i obie wojny messenckie, o których z pewnością tylko tyle wiemy, że Sparta wyszła z nich zwycięsko a Messene swą niezawisłość raz na zawsze utraciła; wojny messenckie były późniejszymi od prawodawstwa Lykurga, lecz czasu ich dokładnie oznaczyć nie można, najwcześniejsze źródła spartańskie powiadają tylko, że „ojcowie naszych ojców zdobyli Messenę”. Późniejsze dzieje Sparty mają za jedyną treść boje z sąsiadami celem podbicia tychże i rozszerzenia się poza pierwotne swe granice; w bojach tych z Tegeją, Mantineją, Argos ostatecznie wychodzili Spartanie zawsze zwycięsko, bardzo korzystne strategiczne położenie Sparty i wojowniczy charakter Spartanów, ich waleczność i wytrwałość, były przyczynami najgłówniejszymi tych zwycięstw. W wieku szóstym a zwłaszcza w jego pierwszej połowie Sparta była najsilniejszym państwem hellenickim i wszystkie też państwa hellenckie, często bardzo niechętnie za takie ją uważały, a Herodot opowiada (I. 69) że Krezus niepokojony przez Cyrusa i Persów, w skutek polecenia bożego udał się o pomoc do Hellenów a właściwie do Spartanów, jako pierwszych

z Hellenów, ztąd więc widać, że i barbarzyńcy uważali podówczas Spartanów za najpotężniejszy lud hellenicki. Obok Sparty Sikion, Korynt i Megara były wielkimi miastami a tem samem i państwami morskimi. Korynt już w VIII wieku zakładał kolonie, głównie on także uwolnił morza hellenickie od piratów (*Tuk. I. 13*), on także staczał pierwszą bitwę morską (r. 664 z *Korkyrą Tuk. I. 13*). W Koryncie pierwotnie panowali królowie z rodu Heraklesa, następnie była forma rządu oligarchiczna, a w VII wieku zawładnął Koryntem despota Kypselos. W tymże czasie tak samo jak i w Koryncie przyszli do władzy i w Sykionie i w Megarze despoty, w tej ostatniej Teagenes, w tamtym pierwszym Ortagoras. W historii hellenickich plemion pojawia się to zjawisko, że pierwotni królowie, początkowo może i potrzebni dla energiczniejszej obrony przeciw napastniczemu mieszkańcom gór (*Duncker l. c. t. III. str. 602 etc.*) prawie wszędzie równocześnie zmuszeni byli zdać swą władzę w ręce oligarchów, dopokąd znów jaki despota nie przyszedł do władzy, poczem albo lud sam sobą rządził, lub oligarchowie napowrót wracali. Grote (*l. c. t. II str. 8*) sądzi, że królów w późniejszych czasach Hellady dlatego nie napotyamy, że z przyczyny rozdrobnienia się w państwo-miasta byli oni zupełnie niepotrzebnymi. Ten duch anti-monarchiczny hellenickich ludów gniewa historyków monarchicznego sposobu myślenia, lecz w gruncie rzeczy był on (z wyjątkiem jednej Sparty) wypływem historycznej konieczności. Król mając sposobność prowadzenia wojen, uśmierzania buntów podbitych ludów, nie ma ani czasu ani sposobu popełniania bezprawia, a gdyby je i popełniał, to wielkość państwa przeszkadzałaby rozszerzaniu się tego rodzaju wiadomości i mnożeniu malkontentów, gdy zaś przeciwnie w tych małych państewkach hellenickich o każdym bezprawiu przez króla popełnionem każdy obywatel wiedział. Herodot kładzie w usta Otanesa (*III. 80*) sposób myślenia Hellenów: „nie godzi się jednemu człowiekowi zdać panowanie nad nami, nie byłoby to ani pomyślnem, ani dobrem. Monarchia mogąca postępować bez odpowiedzialności, według upodobania, nie może być dobrą. Gdyby i najlepszego człowieka królem zrobiono, samodzielność zmieniałaby jego dotychczasowy sposób myślenia; doszedłszy do wielkości i panowania staje się człowiek pysznym, zazdrosnym jest człowiek już z natury, a z tych dwóch wad płynie wszystko złe, albowiem wiele okropności czyni człowiek częścią z pychy, częścią z zazdrości; tak też i monarcha zazdrości najlepszym z obywateli, że im się dobrze powodzi, a znajduje swe upodobanie w najgorszych, potwarzy słucha z przyjemnością, jeżeli go chwala tak, jak na to zasługuje, gniewa się, że nie więcej go wychwalają, jeżeli go zaś więcej wychwalają, przychodzi do przekonania, że mu pochlebiają; a co najgorsze, król obala prawa ojczyste, gwałci kobiety i zabija bez wyroku i bezprawie.“ Istotnie też dzieje hellenickich państw pouczają nas, że wszyscy politycy hellenscy byli antimonarchicznego sposobu myślenia, lecz różnili się w wyborze środków, które miałyby monarchię zastąpić; jedni jak Otanes byli za demokratycznym samorządem gminy, inni jak Megabyzos za oligarchią arystokratyczną

t. j. jak Megabyzos się wyraża, „za rządem najlepszych, między którymi i my także będziemy, albowiem najlepsi będą i najlepiej radzić“ (*Her. III. 8*). Ależ nietylko z winy królów samych przepadły królewskie rządy hellenickich plemion, po części, może nawet po większej części było to winą lub zasługą (jak się podoba wyrazić każdemu według jego sposobu myślenia) obywateli zamniejszych, którzy będąc pod każdym względem nawet i co do swego pochodzenia od bohaterów, królom równi, zazdrościli im ich wyższego stanowiska i bądź gwałtem, bądź podstępem starali się wyzuć królów z ich korony. Jednakowoż główną i najgłówniejszą z przyczyn, które spowodowały upadek królestw hellenickich, było ubóstwo królów, albowiem królowie małych państewek nie mogli być bogatymi, gdyż wcale nie wojując, albo chyba z równie biednymi, nie mieli sposobności gromadzenia bogactw nawet i w razie odnoszenia zwycięstw, a wystawność nieodłączna od owoczesnych królestw domagała się coraz hojniejszych wydatków, coraz większych bogactw, podczas gdy obywatele byli w możności gromadzenia skarbów w drodze olbrzymich przedsięwzięć handlowych, których się podejmować królowie już jako królowie, ze względu na swe stanowisko, nie mogli.

Miejsce królestw zajęły w całej Helladzie oligarchie, tak że w siódmym wieku znachodzimy wszędzie, tak w samej Helladzie, jak i we wszystkich hellenickich koloniach, rządy oligarchiczne. Pierwszem następstwem tych zmian było odłączenie władzy prawodawczej od wykonawczej i oddanie pierwszej w ręce zgromadzeń a drugiej w ręce urzędników wybieranych na pewien przeciąg czasu, po upływie którego do odpowiedzialności pociągać ich można było. Przez to władza straciła owe, znamie, z królewską godnością, jak najnierozłączniej powiązane, wypływające z woli i łaski bożej, i stała się władzą z woli narodu.

Jak oligarchia wypłynęła z królestwa w skutek niezadowolenia małej liczby możnych malkontentów, tak znów i oligarchiczne rządy miały także malkontentów, którzy dążyli do obalenia tychże. Na czele tych niezadowolonych stał zazwyczaj jeden człowiek, bardzo często nawet jeden z oligarchów, a obaliwszy rządy oligarchiczne, bądź gwałtem, bądź podstępem, obejmował sam rządy państwa w swe ręce. Tak powstały tyranie, czyli despoty, jakie w VII i w VI wieku u Hellenów także prawie wszędzie napotyamy; tych tyranów rządy stanowią najsmutniejszą chwilę w dziejach Hellenów, prawie zawsze mieli oni na baczności, jak się Tukidides (*I. 17*) wyraża, tylko własne cielsko i własny dom, dlatego też tyrani byli w Helladzie nie do opisanego znienawidzonymi (*Soph. Antig. 737*) a mordercom ich oddawali Helleni prawie boską cześć, jako „przywrócieli wolności“ (*Grote l. c. t. II str. 23 i 416 uw. 28*). Lecz zwyczajnie rządy tyranów nie były długotrwałymi, ich synowie byli poźdliwsiymi jak ojcowie a przytem nie mieli energii i roztropności, przez które ich ojcowie dosłali się do steru i dlatego znachodzili silniejszy opór, który ich zawsze pozbawiał władzy rządzenia a bardzo często i życia.

Przegląd literacki.

Luczkiewicz Antoni, dyr. żeńskiego sem. pedag. **Szkolnictwo**, na podstawie historycznego rozwoju i zasad wychowania, podług planu przepisanego dla seminariów nauczycielskich, str. 274. Lwów, nakładem Gubrynowicza i Schmidta 1872.

Sprawa wychowania młodych pokoleń jest zawsze i wszędzie, w każdym kraju i w każdej epoce, najważniejszem z zadań społecznych, bo ono stawia kamień węgielny przyszłości; w naszym atoli narodzie obowiązek dobrego wychowania młodzieży ciężać powinien bardziej

niż gdziekolwiek na sumieniu obywateli, a dziś bardziej niż kiedykolwiek, dlatego nie pożądanego w tej chwili nad zjawienie się książki o wychowaniu, a to tem więcej, że dział pedagogiczny nie należy u nas do najobficiej uprawianych. Lecz potrzebna byłaby książka, któraby z prostszej, mniej skomplikowanej podstawy, śmiało i jasnie dążyła do swego celu i przedmiot swój traktowała bardziej wyczerpująco, aniżeli to czyni książka pana Łuckiewiczza. Na tłumaczenie autora da się wprawdzie powiedzieć, że był skrepowany zbyt obszernym i zbyt skomplikowanym planem, który przepisała Rada szkolna, życząca sobie mieć rodzaj encyklopedyi szkolnictwa — w kilkunastu zaledwo arkuszach druku. Nie mniej przeto jest prawda, że spotykamy się tu z najgłębszymi i najtrudniejszymi kwestyami psychologicznymi, wcale niedostatecznie traktowanymi, bo zaledwo, że tak powiem, zadrasniętymi przez autora; mamy przegląd dziejów wychowania, od czasów najdawniejszych wcale pobieżny; mamy nakoniec część trzecią zastosowawczą, bez wątplenia, najlepszą z całego dzieła, ale która także jest za treściwą i żadną miarą wszystkim wymogom podręcznika odpowiedzieć nie może. Naszem zdaniem, gdyby autor był mógł pierwszą i drugą część swego dzieła, a więc $\frac{2}{3}$ całej objętości książki, streścić w krótkim wstępie, a resztę tomu poświęcić li kwestyom praktycznego zastosowania, które tak dobrze pojmuje, byłby uniknął miejsce mętnych w części filozoficznej, konieczności dotykania kwestyi psychicznych, zbyt jeszcze wątpliwych w dzisiejszych czasach, by o nich cokolwiek bądź można powiedzieć w podręczniku i byłby napisał książkę znakomitą a właśnie taką, jakiej nauczycielom ludowym najwięcej potrzeba. Żałujemy, iż tykał dogmatu. Po co np. nauczycielowi ludowemu wiadomość, której mu p. Ł. apodyktycznie udziela, że P. Bóg jest szczerym duchem (str. 23)? Nauczyciel, który się o tem nie dowiedział z katechizmu, z pewnością nie uwierzy na słowo p. Ł.; o ileż pożyteczniejszym za to byłby tutaj, zamiast prostego tego twierdzenia, nie uczącego nic, ustęp o stosunku człowieka do Boga, stosunku, z którego wynika, iż człowiek widzi i widzieć powinien w Bogu wszech-ideał dobra, piękna, sprawiedliwości i cnoty? W innym miejscu (str. 3) p. Ł. zapewnia, że stworzenia niższe organizacyą od człowieka „nie są ożywione duchem nieśmiertelnym;“ po co tykać tych kwestyi, które tylko wątpliwości budzą w dzisiejszych czasach, a apodyktycznie z góry ani się rozstrzygnąć, ani przygłuszyć nie dadzą? Ogłaszać dogmata, rzeczą jest kościoła a nie szkoły. Na każdym prawie kroku razi także wygłaszanie twierdzeń psychologicznych, dziś już, z postępem tej nauki, przebrzmiałych i za fałszywe powszechnie uznanych. Szczególnie w definicyach bywa autor częstokroć nazbyt powierzchownym i nieuważnym. Już samo silenie się na definicje *coute que coute* w tych nawet razach, gdy one są niepodobnemi, uważamy za trud częstokroć jałowy, a cóż dopiero gdy wypadają one tak niejasno i błędnie jak np. twierdzenie, jakoby sumienie było: „*zdolnością doznawania li tylko wewnętrznej rozkoszy z dokonanego dobrego czynu*.“ Zresztą jednak spotykamy w tem dziele, nawet w części filozoficznej, wiele bardzo myśli zdrowych, trzeźwych i prawdziwie płodnych, które tem mocniej razią przeciwiństwem z owem, tylko co wytkniętym, a zupełnie zbytelnym dogmatyzowaniem. Gdybyśmy szereg tych myśli podniesienia godnych wypisać tu chcieli, przekroczylibyśmy o wiele granice naszego rozbioru; dlatego wolimy zachęcić czytelnika, by sam książkę całą przeczytał, przekonani, że, pomimo wytkniętych wad, braku przytem systematyczności w wykładzie, a ztąd i częstych powtarzań się, pożytek z niej wyciągnie wielki

i gruntowny. Co mniej łatwo nam jest wybaczyć autorowi książki, która ma służyć za podręcznik nauczycielom ludowym, to niesłychana ilość językowych i stylowych błędów, z których niejedna doprawdy, że wwołuje zgorzelenie; nie możemy nawet wcale wybaczyć tego lekceważenia ojczyźstey mowy, w dziele tego rodzaju, mającem służyć za codzienną wskazówkę nauczycielom ludowym narodowego języka w warstwach ludności, gdzie on najmiej dobrze znany.

Żeby nie uleść zarzutowi, iż oskarżamy nie wskazując *corpus delicti*, zacytujemy tutaj kilka z błędów językowych, ale tylko kilka, na pierwszych zaraz stronnicach.

1. Co do rzędu czasowników przeczących. (błąd niesłychany u nas rozpowszechniony, a niemilośnie rażący ucho każdego Polaka z innych okolic).

Na samym wstępie w pierwszym wierszu przedmowy znajdujemy takie wyrażenie: „Potrzebę troskliwego szerzenia oświaty *nie* oceniali należycie częstokroć nawet (tu, pod względem stylu, trzy przysłowki jeden po drugim) światli mężowie stanu...“ Dalej na tejże stronnicy (pierwsza stronnica przedmowy), o kilka wierszy niżej: „...preraźliwe krzyki... nie doprowadziły rządzących i naród do poznania“ etc. Dla czytelnika prawdziwa zagadka do rozwiązania: Autor jest-li tego zdania, że czasowniki przeczące rządzą i rządzić powinny przypadkiem drugim (co jest niezaprzeczonem nie tylko w polskim języku ale i we wszystkich słowiańskich, z wyjątkiem moskiewskiego który dziś dopiero tworzy swoją gramatykę, gwałt zadając właściwościom własnym, dla dogodzenia pseudo-universalnym prawdom gramatyki powszechnej)? — wynikać to się zdaje z tego, że, wiedziony potrzebą polskiego ucha, pisze: „krzyki nie doprowadziły rządzących;“ czyli też sądzi autor, że czasowniki przeczące, wbrew polskiemu poczuciu z germańską i z łacińską, rządzić winny przypadkiem czwartym, pisze albowiem także: „Potrzebę *nie* oceniali,“ „Krzyki nie doprowadziły naród“ i t. d.? Może też autor i w pierwszym przypadku daje tylko przypadek czwarty, podobny w tym razie do drugiego? Jest tu i inny jeszcze błąd. W polskim języku do użycia przy czasownikach przeczących, są łączniki przeczące. Nie pisze się: „krzyki nie doprowadziły rządzących i narodu,“ ale się pisze: „krzyki nie doprowadziły rządzących *ni* narodu“ etc.. Któregoż Polaka nie urazi dalej takie wyrażenie: „Wszelka nauka nie rozbudzająca myślenie,“ zamiast „wszelka nauka nie rozbudzająca myślenia...“ Z flegmą coś podobnego przeczytać może chyba tylko Niemiec.

2. Jeszcze co do rzędu czasowników, jakkolwiek już nie przeczących. P. Ł. pisze (str. 6 w. 20): „... pewne korporacye rzeczywiście starały się owaćdnać wychowanie publiczne.“ Któryż Polak nie napisałby raczej: „Pewne korporacye rzeczywiście starały się owaćdnać wychowaniem publicznem?“ W języku polskim, tak bogatym w różnorodne nadzwyczajnej delikatności odcienia, czasownik: owaćdnać rządzi przypadkiem czwartym tylko w sensie czysto materialnym i w stosunku do przedmiotu czysto materialnego... I tak np. można powiedzieć: „Wojownik ten owaćdnął kraj bogaty i żyźny“ — niepodobna wszakże powiedzieć inaczej, jak: „ówładnął umysłem żony, sercem przyjaciela, wychowaniem dzieci, owaćdnął tłumami“ itd. We wszystkich tych razach, gdzie chodzi o owaćdnięcie moralne (jak rzecz się ma i w okresie autora) czasownik: owaćdnać, rządzi przypadkiem szóstym.

3. Ponieważ mówimy o czasownikach: na to mamy w języku naszym formy częstotliwe, żeby ich uży-

wać, gdy nie chodzi o czyn jednorazowy, ale o powtarzający się, lub który powtarzać się musi. Dlatego nie polskiem jest wyrażenie użyte na str. 6: „Pewne rządy zaprowadzały w szkołach język niezrozumiały, ażeby młodzież z nauki nie mogła odnieść korzyści, lecz żeby tylko w zarożumiałości tem niedoleźniejszą się stała.“ Skutek, na który autor zwraca tutaj uwagę, nie należy do rzędu takich, coby, raz się objawivszy, zapadały już w przeszłość niepowrotnie; powtarza się on owszem, odnawia bezustannie; raczej trwa ciągle, dopóty, dopóki usunięta nie została przyczyna; forma czesteliwa jest tu przez samą naturę rzeczy wskazana i dlatego Polak by napisał: „żeby tem niedoleźniejszą się stawała“—tembardziej, że wyżej w tymże okresie sam autor napisał „rządy zaprowadzały,“ a nie „zaprowadziły.“

4. Nie napisze również (str. 2) autor władający dobrze polskim językiem: „Nie inaczej więc jak rolnik nie jest twórcą wewnętrznego wzrostu roślin“ (że już nie pytamy czy szczęśliwym jest w tym wypadku to wyrażenie: być twórcą wewnętrznego wzrostu?), daleko łatwiej jest powiedzieć, gdy już o to chodzi: „Jak rolnik nie jest twórcą wewnętrznego rozrostu roślin... tak“ i etc.

5. Równie nie wiemy czy po polsku jest pisać (*loco citato*), że rolnik przez troskliwą uprawę zyskuje rośliny; to czysty germanizm; po polsku mówi się i pisze zwykle: „Rolnik, przez troskliwą uprawę otrzymuje dorodne rośliny etc.“

6. Wadliwą także, i to bardzo, jest na str. 8 fraza: „Znany powszechnie chłopski rozum prędzej i lepiej sobie radzi, niż uczonego.“ Stosownie do tego, co autor zamierzał wyrazić, trzeba było powiedzieć: „Rozum chłopski prędzej sobie radzi o d uczonego (rozumu)“; albo też „Ro-

zum chłopski prędzej sobie radzi, niż rozum uczonego (meza).“

7. Pomijamy, na koniec, zaniedbania stylu, w tym rodzaju (str. 2): „Człowiek... musiałby zrzec się swego wzniosłego stanowiska, jakie... Wystarczyło: „Wzniosłego stanowiska, jakie...“ Swego tu zbyteczne i razi. Albo też (tamże): „Zbiór tych wszystkich czynności i wpływów, które w tym celu przedsiębrane bywają, ażeby umożliwić i t. d.“... Czyż nie łatwiej i nie składowiej byłoby powiedzieć: „Zbiór tych wszystkich czynności i wpływów przedsiębranych (jakkolwiek przedsiębrać wpływ jest także co najniej dziwniejszym) w celu umożliwienia i t. d.“

Pomijamy te zaniedbania i grubsze jeszcze błędy stylu (niech czytelnik zważy, że wszystkie te usterki, cośmy dotąd wykazali, zebrane zaledwo na 10 pierwszych stronicach), bobyśmy nigdy nieskończyli; niemniej przeto, powtarzamy po raz trzeci, boleśnem jest, że dzieło tak wadliwie napisane, jakkolwiek zkąd inąd wiele mające zalet, bezustannie będą mieli przed oczami ci właśnie, których pierwszym obowiązkiem będzie uczyć młode pokolenie dobrego mówienia i pisania po polsku.

Lekceważenie, z jakim się obchodzimy z językiem naszym, jest godnem największego pożałowania; jest to jedna z największych krzywd, jakie wyrządzamy narodowi.

Największą zasługą p. Ł. jest, iż zacytowany dosłownie znaczną część przepisów naszej komisji edukacyjnej, odnowił niejako dla naszych nauczycieli ludu to obfite źródło narodowych myśli i natchnień w przedmiocie pedagogii.

Żałujemy mocno iż dla wykazanych wyżej powodów językowych, nie możemy dzieła tego polecić publiczności równie gorąco, jakbyśmy byli tego pragneli.

Wiomości naukowe, literackie i artystyczne.

ESTETYKA. *Egger Alois. Vorschule der Aesthetik, ein Lehr- und Lesebuch.* Wien. Hölder 1872. W dobrze obmyślanej metodzie wykładu istotę piękna i artystycznej fantazy, charakteryzuje pięć głównych działów sztuki wraz z krótkim streszczeniem historycznego tychże rozwoju. Dodane przykłady objaśniające, rysunki dzieł znakomitszych i konstrukcje form technicznych.

NAUKI SPOŁECZNE. *Revue de deux mondes* zamieszcza nader zajmujące rozprawy, Emila de Laveleye: „*Les formes primitives de la propriété*“ i Alfreda Maury: „*Le Socialisme au XIX. siecle.*“

TEATR I SZTUKI PIĘKNE. Sezon benefisowy obiecuje być w tym roku bardzo świetnym. Program częściowo już jest ułożony. Wybrali, p. Kadnowski: „*Króla Jana*“, Szekspira; Podwyszyński: „*Sen nocy letniej*“, tegoż; Kwieciński: „*Wesele Figara*“, Beaumarchais'ego; pani Linkowska: „*Wesołe kobiety z Windsoru*“, Szekspira; panna Deryng podobno: „*Antygona*“, Sofoklesa. Słyszeliśmy także o „*Cydzie*“ Corneille'a, „*Królu Lirze*“ i „*Egmoncie*“. Ze sztuk oryginalnych pojawia się: „*Elekcja króla Michała*“, dramat historyczny Bron. Komorowskiego i „*Zaklęty dwór*“, opracowanie sceniczne znakomitej powieści Wal. Eozimskiego, dokonane przez Mieczysława Chrzanowskiego. Niech więc przynajmniej artyści dbają o repertuar, skoro dyrektora postanowiła już nas zamęczyć „*Patrolem nocnym*“ i „*Pensyonarkami*“. — Teatr krakowski zostanie w tych dniach otwarty dramatem zaleconym przez komisję konkursową: „*Przeor Paulinów*“. — W teatrze warszawskim przygotowują na scenę Szekspirowskiego: „*Makbeta*“. Główne role: pan Królikowski i pani Rakiewiczowa. — Teatr poznański objął stanowczo pan Zygm. Sarnecki i rozpoczyna przedstawienia d. 1 Października. — Jutro otwarty będzie we Wiedniu nowy teatr Laubego (*Stadttheater*) dramatem Fr. Szylera: „*Demetrius*“. — Leon Laya, znakomity komedypisarz francuzki, wslawiony autor: „*Duc Job*“, „*l'Etourneau*“ i wielu innych, powiesił się dnia 5 b. m.

— Pani *Marya Grottger-Sawiczewska*, siostra drogiej pamięci artysty, znakomicie wykształcona śpiewaczka, uczennica pani Passi-Cornet, przybędzie w tych dniach do Lwowa dla dania koncertu. We Wiedniu, zkąd przyjeżdża, dała się bardzo zaszczytnie poznać w kołach muzycznych, posiadając głos piękny, altowy i wyborną metode. Nie wątpimy, że publiczność licznem zebraniem się na koncert, złoży hołd jej talentowi i jej imieniu.

— *Leopold Steinmann*, utalentowany rzeźbiarz, od paru dni bawi w naszym mieście. Wychowaniec berlińskiej Akademii sztuk pięknych pierwszemi pracami swemi dał się poznać zaszczytnie w Wielkopolsce. Wykonał tam popiersia hr. *Macieja Mielżyńskiego* i *Karola Marcinkowskiego*, o których krytyka nader po chlebne wyraziła zdanie. Ostatnia praca tego artysty jest medalion nieodżałowanej pamięci *Stanisława Moniuszki* z maski pośmiertnej, odznaczający się wielkiem podobieństwem i poprawnością wykonania. Sądźmy, że nieartystycznie wyglądający Lwów skorzysta z pobytu w nim artysty-rzeźbiarza.

Składka na fundusz szkół ludowych.

Tadeusz Rudyński 3 złr. — *Konopacki* 1 złr. — *A. M* 20 ct. — *Z kwotą poprzednią* 42 złr. 20 ct.

KORESPONDENCYA od REDAKCYI.

Autorom poezyi: „*Bajeczka*“, „*Endymion*“, „*Upiory*“, „*Polski Ares*“, „*Zaspiewana*“, „*Nie będą drukowane*“. — *Panu W. T.* w *S.* Przekład poematu Ossyana: „*Komala*“ drukowany nie będzie. — *Panu A. S.* w *K.* *Akeya* kupiona. Wkrótce szczegółowy rachunek. — *Korespondentowi* w *B.* Brak nam miejsca. — *Panu P.* w *P.* Rozprawa: „*O fizyognomistyce*“ nie odpowiada programowi naszego pisma. — *Panu B. S.* w *L.* *Księga przyrody* Szellera wyszła w Warszawie i kosztuje 5 rs. — *Kasynu w W.* *liczce*: 2 złr.